Lwów, 2. Września. Nr 105. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Zlr.— półroczna **3** Zlr. — kwartalna **1** Zlr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Zlr.— półrocznie **4** Zlr.—kwartalnie **2** Zlr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

PODRÓŻ KATARZYNY II.

DO KRYMU.

Szkic historyczny.

Odkąd najdziwniejsza z wszystkich rewolucyj w roku 1762 ubogą księżniczkę Anhalt-Zerbst wyniosła jako Katarzynę II. na tron carski, najfantastyczniejsze pomysły o zawojowaniu Orientu, plany daleko sięgające i na głębokich rozumowaniach oparte obok romantycznych zachceń, podobnych do arabskich bajek, powstawały w duszy tej szczególniejszej kobiety. W roku 1768 rozpoczęła wojnę z Turcyą, a zwycięstwa wojsk moskiewskich zdawały się sprawdzać starogrecką przepowiednię, iż od północy przybędzie jasnowłosy naród, nazwany Ros, i zrzuci półksiężyc z meczetu Zofii i zatknie krzyż na nowo. Nawet Carowa wierzyła mocno w tę przepowiednię, wszak w niej zawarta była tajemnica jej serca. Jednakowo trudna-to była rzecz do spełnienia; cały świat wprawdzie potępiał butę i barbarzyństwo Turków; Wolter w swych pismach żądał obalenia tego państwa, choćby dla tej jednej przyczyny, iż Turcy dla kobiet niemają szacunku; żadne przecież z mocarstw europejskich już wtedy dopuścić niechciało, aby Konstantynopol stanął się moskiewskim. Już wtedy taki był skład spraw i równowagi europejskiej.

Wśród tych zamysłów upłynęło kilka lat Carowej, lecz nie bez przygotowań i nie bezskutecznie dla jej planów. W roku 1783 wśród najgłębszego pokoju zajęła prawem mocniejszego półwysep Krymu. Austryacki internuncyusz Thugut pisał z Stambułu do Wiednia, iż okręta moskiewskie w 36. godzinach z Krymu stanąć mogą teraz pod murami Seraju. Wprawdzie nieprzybyły one tak prędko, a Katarzyna nie była już ową piękną zachwycającą kobietą o ciemnych włosach i iskrzącem oku, kochanką posła polskiego w Petersburgu, Poniatowskiego. Już teraz żaden malarz-by o niej nie powiedział jak dawniej, iż malować ją najlepiej w postaci nimfy, niosącej w jednym ręku wieńce kwiatów, a w drugim pochodnię płonącą. Carowa naużywała się wszystkiego do sytu, kochanków i miłości; pod płaczącemi wierzbami w carskiem siole pochowała ona najwierniejszego swego kochanka Łońskiego (Łanskoj), nic ją więcej nie cieszyło, ani taniec, ani muzyka, ani śpiew. Tragedye Rasyna, które dawniej na pamięć umiała, wydawały jej się teraz nudne i czcze, z wszystkich kwiatów już tylko jedynie róże jakotako lubiła. W tem przyszło jej na myśl, odwiedzić swe południowe prowincye, zapragnęła zwidzić owe w starożytnych pieśniach sławione wybrzeże skaliste, gdzie stała świątynia Dyany, zkąd Ifigenia zalana łzami wypatrzyć chciała ojczystą Grecyę i być od Tatarów uwielbianą, jak niegdyś Semiramida na murach Babilonu. Może owładało ją ciemne przeczucie, że i jej życie ubiega do kresu; raz więc jeszcze życzyła sobie olśnić świat cały magicznym blaskiem, aby w pamięci przyszłych pokoleń pozostała, jak postać z tysiąca nocy i jednej. Taką wydała się przyjaciołom swym. Książe Karol de Ligne nazywa ją Kleopatrą, Wolter północną Semiramidą.

Było to 18. stycznia 1787 roku, gdy Katarzyna opuściła Petersburg. Nie w najlepszym była humorze, bo wnucy jej Carewicze Aleksander i Konstanty, którym z daleka ukazać chciała wieże Stambułu, dostali wietrznej ospy i nie mogli jej towarzyszyć. W jej powozie siedzieli: ówczesny jej kochanek, hr. Momonów, który niedawno temu był ubogim podoficerem; stara matrona panna Partozów, (młodych dziewcząt Carowa nie lubiła i nie otaczała się niemi, odkąd faworyci jej zanadto długo i zanadto często wpatrywać się w nie poczęli), nareszcie poseł austryacki hr. Cobenzl. Posłowie angielski i francuski, melancholiczny Fitz-Herbert i dowcipny Ségur, który walczył w Ameryce i przy dziurce od guzika nosił order Cincinnata, jechali w drugim powozie, za nimi długi szereg powozów, przeszło sto, wszystko na saniach. Po utartym jak szkło śniegu lecieli lotem strzały, dobrze owinięci w futra, a na głowie kunie czapki. Gdy słońce o 4. godzinie zachodziło, nagle po obu stronach drogi w małem oddaleniu od siebie zapalano stosy sosen i świerków i robiło się jaśniej jak we dnie, a nad podróżującymi wydawało się niebo, jako szeroko rozpostarty purpurowy baldachim. Z miasteczek i wiosek spieszył naród ku drodze, padał na ziemię twarzą w śnieg, gdy sanki Carowej się zbliżały, a podnosił się dopiero, gdy cały pochód dawno już przeszumiał. Katarzyna odzyskała całą żywość swą, mówiła jedynie o cywilizacyi swego państwa. Ségur musiał jej wiersze deklamować, sama nawet poczynała rymy składać, chociaż najlepsze wiersze, które ułożyła, były, jak to jej Fitz-Herbert mówił, następujące:

To [illegible]czywá szlachetna suczka Anderson,
[illegible]kąsiła niegdyś pana Rogerson.

Był to nagrobek, który napisała dla swej ulubienicy.

Najczęściej lubiła rozmawiać o Turkach. Ségur nie lubił Turków; lecz gdy Francya w przymierzu była z Portą, więc często pomimo swej woli musiał ich bronić. Cesarzowa lubiła szydzić z niemocy tego upadającego państwa, wyśmiewać bezsilność Sułtanów i nędzne ich wojska. Wtedy wydawało się im wszystkim przeznaczeniem losu, iż na Wschodzie kwestya całego świata ma być rozstrzygnięta, czy powstanie nowe bizantyńskie państwo w Stambule, i zawładnie całą Europą? Nie przeczuwano nawet wtedy, że wkrótce inny zupełnie ruch wstrząśnie światem, iż wyższe, potężniejsze myśli, niż plany samolubnej ambicyi natchną społeczeństwo europejskie i wprowadzą je na drogę postępu. Strzały strzelb spokojnych mieszczan w Bunkershill, które daleko na Zachodzie, za morzem, zapowiedziały nową erę ludzkości, głucho jedynie uderzyły o ucho Carowej. Wszak ona i dostojni panowie w jej orszaku marzyli o odbudowaniu greckich republik, o Atenach i mownicy Demostenesa. My wszyscy kochamy republiki, pisze książę de Ligne, ale jedynie republiki oblane morzem. Tak bawiono się, balowano w Smoleńsku i Kijowie, dokąd w Lutym przybywszy, zatrzymano się aż do Maja. Czekano bowiem, aż lody puszczą, i będzie można batami podróżować po Dnieprze. Wprawdzie już w Kwietniu żegluga była wolna, ale hr. Momonów dostał lekkiego bólu gardła, a Carowa opuścić biednego niechciała.

Kijów niebył już owem sławnem świętem miastem, z czasów Chrobrego i Krzywoustego; tylko gruzy, i kilka pozłacanych kopuł kościołów, przypominały świetniejsze czasy.

— Jak się panu to miasto podoba? zapytała Katarzyna hrabiego Cobenzl.

— Najpiękniejsze, jakiem dotąd widział.

Fitz-Herbert wzruszył tylko litościwie ramionami i rzekł:

— Najsmutniejsze miasto na świecie — same zwaliska.

Francuz Ségur zdobył się na najlepsze pochlebstwo.

— Kijów, rzekł, jest pamiątką dawnej a nadzieją przyszłej świetności.

Festyn następował za festynem, bal po balu. Ileż to brylantów i orderów gwiazdzistych blaskiem swym zapełniało sale, ile narodów od lodowatego morza aż do granic Persyi cisnęło się w tych murach do stóp kobiety! Osobliwie magnatów polskich zebrało się wiele w Kijowie, ubiegając się o jedno spojrzenie, o łaskę Carowej, a na ich czele stał Szczęsny Potocki, marzący o koronie polskiej. Młody francuski pułkownik Alexander Lameth przedstawiony tu był Carowej i bardzo się jej podobał; wtedy był zapalonym wielbicielem absolutnej władzy monarchicznej. Ktoby mógł był mu przepowiedzieć, że w dwa lata później na ostatniej lewicy zgromadzenia narodowego siedzieć będzie. Z kobiet główną uwagę zwracała sławna wróżka, przepowiadająca z kart, piękna Greczynka, pani Wittowa, która zdołała poruszyć serce Potemkina, i wyjednać swemu mężowi gubernatorstwo Chersonu, na to tylko, aby go później porzucić i zostać panią Szczęsnową Potocką. Tu ukazał się nareszcie wszechwładny dyrektor tej podróży, książę Potemkin. „On przedstawia żywy obraz państwa rossyjskiego, mówi Segur, z wierzchu wiele blasku i pokostu, pod spodem barbarzyniec“. Nie był on wcale piękny. Jednooki, olbrzymiej budowy ciała i wiecznie zachmurzony. W szlafroku, z obnażoną szyją, włosem nieuczesanym, rozciągnięty na sofie, tak posłom obcych mocarstw dawał posłuchanie. Podobny sposób myślenia, podobne fantastyczne plany, podobające sobie w awanturnictwie, podobne przesycenie zabawami świata, łączyło go z Carową. Carowa od dawna go nie kochała, ale uważała go jako swego ucznia, ceniła go jako jedynego męża, który ją pojął. Od kilku lat zarządem zawojowanych prowincyj zajęty, kazał Potemkin sto miast założyć, sam kładł kamienie węgielne, z Niemiec, Polski i Holandyi, czyniąc ogromne obietnice, wabił osadników na stepy bezludne. Teraz swej Carowej chciał ukazać te bajeczne dzieła swe, które jedno słowo z ust jego stwarzało.

Dniester był wolny od lodu; galary były pysznie urządzone, i w stubarwne chorągwie zaopatrzone. Na nich miała nowa Kleopatra płynąć aż do sławnych porohów Dniepru. I ona udawała się naprzeciw Rzymianinowi, naprzeciw rzymskiemu Cesarzowi Józefowi II. który wysłał księcia de Ligne z tem poselstwem do niej, iż w Chersonie oczekiwać ją będzie. Wprawdzie nie posypywała Katarzyna wina prochem z roztłuczonych pereł, jak to czyniła Kleopatra, lecz rozdarowywała pełną garścią perły i brylanty, wzywała wszystkich, aby ją prosili o podarunki. Scena z Suwarowem niemile ją dotknęła. Spytała raz tego dziwaka:

— Jenerale, dla czego mię nieprosisz o jaką łaskę?

— Istotnie będę prosił, odparł, dłużen jestem za mieszkanie miesięczne. Niech Najjaśniejsza Pani zapłaci za mnie.

Dług ten wynosił trzy ruble.

Było to 1. Maja. Katarzyna wraz z Potemkinem zwiedziła wszystkie cerkwie i monastery św. Kijowa. Potemkin zaczął znowu mówić, iż zrzecze się wszystkich orderów i próżności świata i zostanie czerńcem. Przy najpiękniejszej pogodzie rannej, pod lazurowem niebem wstąpiła na swój galar. I znikła chrześciańska prawowierność, okazywana czerńcom po świątyniach pańskich, a odżyło w niej pogaństwo dawniejsze. Zagrzmiały bębny i trąby, w zbudowanych na pokładzie pokojach lśniało wszystko od złota i różowego jedwabiu. Długi pochód 80 galarów płynął za nią. Dostojniejsze, świetniejsze towarzystwo nie zebrało się dotąd nigdzie, nigdzie dotąd na chwiejących się deskach okrętu nie rozrzucono tyle iskrzącego się dowcipu. Dla uwiecznienia tej przejazdki wzięto nawet i dziejopisa z sobą, dziejopisa tak wesołego i dowcipnego umysłu, jak oni sami

byli, ale i bez ducha i treści, jak oni sami, który się grzał jedynie na słońcu łask pańskich, kołysał się na powierzchni życia ludzkiego, lecz nigdy w jego głębie nie zajrzał, — księcia Karola de Ligne.

O! sławne i szczęśliwe byłyście galary, pamięć o was nigdy nie zaginie. Wszak po raz ostatni dostojnicy europejscy w czystym, niczem niezamąconym tryumfie płynęli na pokładach waszych wzdłuż krainy biednej, zdobytej niedawno na spokojnym sąsiedzie i rozrzucali na nędzne chłopstwo, które o mil kilkanaście spędzono do brzegów Dnipru, i w sukniach świątecznych przy zbliżaniu się galarów ukłądz mu kazano, pełnemi garściami ruble i — pomarańcze! Wzdłuż wybrzeża po kwiecistych błoniach przesuwały się trzody owiec i bydła rogatego; z głębi zielonych gajów przebijały się lśniące białością mury pięknych will, dopokąd wysuwający się naprzód pagórek, winną obsadzony latoroślą, nieusunął tego widoku z przed oczu podróżujących i nie przedstawił nowego, przecudnych jakby ogrodów, zasadzonych dzikiemi różami, kwitnących wiosek z pięknemi kopułami na cerkwiach; a czasem wieczorami z daleka dolatywał odgłos dzwonu na wieczorną modlitwę lud pobożny zwołującego. A przecież to wszystko było tylko snem jedynie. Te wsie były na dorywczo przed kilku dniami założone, i tegoż samo dnia, gdy Carowa przypłynęła, opuszczono je; te drzewa dopiero wczoraj zasadzono; gdzie teraz woniał jaśmin i róża, tam po kilku godzinach uderzał znowu niespokojny nurt Dniepru jedynie o kamień i piasek podobnie, jak przed lat tysiącem. Jak statyści przy wielkiej operze, pojawiali się ciż sami ludzie wnet przybrani za pasterzy i chłopów, wnet za mieszczan i żołnierzy, wszystko podług ukazu Potemkina. Nawet w towarzystwie na galarach szeptano sobie po cichu, iż owe wsie, to tylko klejonki pomalowane, owe trzody to tylko rzeźbione zabawki dla dzieci. Lecz cóż to szkodziło? Wszak Semiramis w pochodzie swym do Indyów w swem wojsku prowadziła drewniane słonie! (D. n.)

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

IX.

(Ciąg dalszy).

A kiedy to się działo z tej strony dworu, z drugiej strony dziedzińcem zbliżali się pieszo ku gankowi x. Augustyn i ojciec Kamila. Po długich, tajemnych i zręcznych poszukiwaniach, dowiedzieli się oni nakoniec, że tutaj się schronił wypłoszony z ojcowskiego domu Kamilek, i przyszli podziękować jenerałowi za dobrodziejstwo a Kamila odwiedzić. Przystanąwszy na ganku, obradzili się między sobą, co i jak mają mówić z gospodarzem domu, bo x. Augustyn go znał osobiście i wiedział, że nie zawsze łatwą z nim bywa rozmowa, — poczem wpuszczeni przez sługę, weszli do kancelaryi.

Jenerał siedział nad papierami i głośno rachował, notując co chwila liczby na kartce osobnej, lecz obaczywszy gości, wstał, przystąpił do nich aż ku drzwiom a poznawszy proboszcza, odkłonił mu się lekko i wlepił wzrok swój badawczy w pana Bonawenturę.

— Prezentuję panu jenerałowi, — zabrał głos xiądz, kłaniając się nisko, — pana Bonawenturę Łaskiego, wdzięcznego chociaż nieznajomego sąsiada pana jenerała.

Podczas tej prezentacyi stary oficer napoleoński wyprężył się jak strona i bez uśmiechów, ukłonów i wszelkich innych umizgów, patrzył niewzruszonemi oczyma prosto w twarz starego, osiwiałego wodza. To zachowanie się bardzo się podobało jenerałowi, obejrzał go więc jeszcze raz od stóp do głów i spytał:

— Waćpan służyłeś w wojsku?

— Tak jest, jenerale, — odpowiedział pan Bonawentura, nie zmieniając postawy, — służyłem przez lat dwadzieścia.

— Za czasu wojen, w wojsku francuskiem? — Zapytał znowu jenerał.

— Tak jest jw. panie, — odpowiedział starzec półgłosem, jak gdyby się obawiał zrazić tem wyznaniem tego, który służył także w wojsku, lecz na stronie przeciwnej, i który może do dziś dnia jeszcze nienawiedził swych nieprzyjaciół.

Ale jenerał tymczasem przeszedł się tam i na powrót po izbie, wskazał krzesła swym gościom, sam usiadł w fotelu przy biórze i tak dalej prowadził rozmowę:

— I musiałeś zapewne być dobrym żołnierzem, co na wszelki wypadek jest piękną zaletą... ale źle, źle wychowujesz dzieci, mój panie.

— Jestem ubogim jw. panie, — rzekł na to ojciec Kamila, siadając na krześle wskazanem, — i nie stać mnie na lepsze wychowanie, które zawsze wielkie pociąga za sobą wydatki.

— Nie idzie tu o wydatki, — poderwał jenerał, — ani o wielostronność instrukcyi; owszem, sam jestem przeciwny owemu zapychaniu głów młodzieży massą wszechwiadomości, bo to nie prowadzi do niczego; ale idzie tu o kierunek, jaki się daje ich uczuciom i myślom. I nie chcę nikomu narzucać moich przekonań i nie powiadam, że moje są właśnie najlepsze, ale że te, które pan tak wcześnie i tak głęboko wpoiłeś w swojego syna, okazały się najgorszemi w swych skutkach, mamy dowód niezaprzeczony przed naszemi oczyma.

— Jw. panie, jest to tylko nieszczęście.

— Nie, mój panie Łaski, — rzekł na to jenerał, — nie jest to tylko nieszczęście, nie jest to przypadkowe zdarzenie, ale jest to naturalny a nawet konieczny skutek waszych wyobrażeń o powołaniu młodzieży. Bo bardzo to

pięknie jest być przywiązanym do kraju i umieć się za niego poświęcić, ale szaleństwem jest być niewolnikiem utopii, — a wy wszyscy takimi jesteście! Wymarzyliście sobie coś, co nie ma nóg ani głowy, co się nie da żadną podeprzeć rachubą, czego wy nawet sami nie pojmujecie jasno i dokładnie, — i w takiego bałwana bez ducha i formy uwierzyliście jak w Boga drugiego. Tę wiarę podajecie waszym synom i wnukom, która u nich staje się jeszcze ciemniejszą i zawikłańszą a w głowach szalonych wyradza się w najstraszniejsze potwory i dziwolągi. Opanowani taką waryacyą, czem-że w tem życiu być mogą? myśli potwórne na jakież drogi ich zawieść zdołają? szalone fantasmagorye czyliż są w stanie coś ożywić lub wskrzesić?... Mówiłem z synem waćpana, mój panie Łaski, i zrozumiałem wszystko dokładnie, co w jego głowie się warzy, o ile rzeczy te mogą być zrozumiałemi, ale powiadam waćpanu szczerze, żem się go zląkł jak upiora!

Mir widersteht das tolle Zauberwesen!
Versprichst du mir, ich soll genesen,
In diesem Wust von Raserei?

Te słowa powiedział Faust szatanowi u czarownicy, i ja nie mam innych dla niego i wszystkich jemu podobnych!

Podczas tej apostrofy jenerała xiądz Augustyn kręcił się na krześle jak wąż ogniem skropiony, stary Łaski słuchał wszystkiego spokojnie a kiedy wysłuchał, odchrząknął, splunął i tak odpowiedział:

— Nie rozumiem po niemiecku jw. panie i nie wiem dobrze, jaka wartość waćpan dobrodziej myślom i zdolnościom mojego syna w swej łasce naznaczasz. Szaleństwa jego, jeżeli w nim jest jakiekolwiek, wcale nie bronię, chociaż zdaje mi się, że to, co waćpan dobrodziej nazywasz szaleństwem, nie jest nic innego, jeno to samo, cośmy naszych czasów nazywali ognistą fantazyą i mieli zawsze za wielką cnotę w młodzieży. Czasy się zmieniają i przynoszą ze sobą coraz to inne mody i inne zwyczaje, atoli nie rozumiem, ażeby się w tak krótkim czasie tak bardzo odmienić mogły, żeby to, co było piękną zaletą natenczas, stało się dzisiaj szkaradną wadą. Nie wiem, mówię, i dlatego nie sądzę. Za myśli i pragnienia mojego syna ja się wcale do odpowiedzialności nie piszę, bom ja go nie wychowywał. Mądrość współczesna wyprzedziła moje ociężałe już kroki i zniknęła całkiem z przed moich oczu, jam się został przy owym rozumie starym, który już cuchnie wiatrem i pleśnią, i chociaż nie wiem, jednak czuję to w mojem sercu, żem jest głupi w dzisiejszych czasach. Dlatego nie brałem się do wychowania syna mojego, jam mu tylko do nauk pomagał, a przestrzegając czystości jego serca i sumienia, wychowanie jego zresztą poruczyłem czasowi, który swą własną przynosi mądrość dla swego wieku, i temu, który jest panem wszelkich czasów i wszelkiej mądrości. Z jaką mądrością czas dzisiejszy zestąpił na ziemię, tego już nie wiem: być może, iż widząc dzieje tej ziemi, tak przepełnione rzeczywistą mądrością, że jej już ludzie nawet objąć nie mogą, zestąpił teraz dla odmiany z szaleństwem i głupstwem? — być może; profanus jestem w tych rzeczach i dla tego nie poważam się jw. panu zaprzeczyć. Ale co się tyczy tej wiary, choćby też przedmiotem jej nabożeństwa był rzeczywiście tylko bałwan bez ducha i formy, dajmy jej pokój jw. panie! Nie chciej waćpan dobrodziej przynajmniej odbierać mnie mojej. W niej ja się urodził, z nią wzrosłem, z nią w sercu a szablą w ręku przeszedłem świat cały, ona jak gwiazda jedyna świeciła na zachmurzonem niebie całego życia mego, z niej tyle nieraz wyssałem pociechy, w niej odżywiałem zawsze stargane siły, ona rozpędzała wszystkie moje zwątpienia i wszystkie rozpacze, w niej znajdowałem zawsze spokój duszy i dobrą na przyszłość nadzieję. Dzisiaj przygarbiony starością i nad grobem stojący, mamże własną ręką zagasić to jedyne światełko, które mi jeszcze przyświeca?.... mamże umyślnie odwrócić oczy od tej jasnej szczeliny, przez którą z tej ziemskiej ciemnicy widzę niebo i jasną przyszłość dla siebie za grobem?... Nie, jw. panie, tego dobra ani sam się nie zrzeknę, ani go sobie nie dam odebrać nikomu, — a co było światłością duszy mojej przez całe życie, to niechaj jej już świeci do śmierci.

Po wysłuchaniu z wielką uwagą tej odpowiedzi xiądz Augustyn rozpłomienił twarz swoją, zażył z szczególniejszą satysfakcyą tabaki i rzekł:

— Błogosławieni ci, którzy wiarę swoją zachowali w czystości przez całe życie i nie potrzebują jej zmieniać u grobu.

Atoli jenerał, który także z uwagą słuchał pana Bonawenturę, wstał z swego miejsca i przeszedł kilka razy w głębokiem zamyśleniu komnatę, poczem przystąpił do mowcy i rzekł głosem dobitnym:

— Szczerze się cieszę z poznania waćpana..... umiałem zawsze szanować cnotliwych ludzi, i dziś ich szanuję w waćpanu.

To mówiąc, podał mu rękę, ale na księdza rzucił wzrokiem tak surowym i gniewnym, jak gdyby go chciał za drzwi wyrzucić — oczyma. Wszakże potem usiadł spokojnie w fotelu i ochłonąwszy cokolwiek, o ile się zdaje, z dość głębokiego wrażenia, które na nim zrobiła otwarta odpowiedź starego Łaskiego, tak mówił dalej:

— Tak jest! ludzi cnotliwych. Ale trzeba wiedzieć waćpanu, że ja nie rozumiem tego wyrazu tak, jak jest dziś brany powszechnie. Dzisiaj poczciwość i cnota to jedno, a u mnie to rzeczy różne od siebie. Ja pod wyrazem cnota rozumiem to, co u Rzymian znaczyła virtus. Wyraz ten, w tem samem znaczeniu był używany i w dawnej Polsce, jak się o tem przekonuję ze starych kronik i wtedy jeszcze musiał istnieć i ten przymiot, kiedy istniał jego właściwy wyraz. Była cnota i był jej znak odpowie-

dni w języku. Atoli dzisiaj wyraz ten zmienił swoje znaczenie, a z nim razem zniknęła i owa dawna cnota z pomiędzy ludzi. Może ktoś inny innemi oczyma, ale ja innemi już jej u nas nie widzę. Jeszczeż za naszych czasów, mospanie Łaski, trafiali się pojedyńczy ludzie, którym się słusznie należało to zaszczytne nazwisko, ale i to już były nader rzadkie wyjątki. Gwałtowne burze świata wyciągnęły ich na jaw, wykształciła ich wojna, a sława oddała potomności ich imiona, — godni są oni wielkiego szacunku, — lecz rozpatrując się dokładnie w historyi ich życia, nie można się dosyć nadziwić, jakiego to zbiegu tysiącznych okoliczności, jakiego wysilenia potrzeba było na to, ażeby tych kilku ludzi w społeczeństwie odszukać, wyrobić, na scenę świata wyciągnąć i nad nią wyrzucić. Dzisiaj żadne wysilenie już z nas nic nie wyrobi i nikogo na wierzch nie wyrzuci. Jesteśmy jak ów suchotnik, który dając dziecięciu życie, zaczerpnął w pierś swoją zarodu śmierci, — dziecko jego rodzi się już z zarodem suchot. Tak jest u nas, tak wszędzie. Patrząc na to, gorżko się robi na ustach, i mówimy sobie: ladajakie było życie nasze, a śmierć zgoła nijaka. Bo proszę rzucić okiem w wieki średnie. Cóż-to były za czasy! jacy ludzie! jakie ich cnoty! jakie tam charaktery!... Jakże smutnemi są ostatnie dnie życia dla tego, który umie siebie porównać z ludźmi tamtych wieków, a o ileż jeszcze smutniejsze natenczas, kiedy odgadnąwszy naturę przyszłości, musi dziękować Bogu, że go ta przyszłość spotyka u grobu a nie w kolebce!

— Słuchając tego, — rzekł na to xiądz, który się znowu począł niecierpliwić cokolwiek, — słuchając tego, co pan jenerał mówisz, należało-by wnosić, że pan dobrodziej w życiu moralnem ludzkości widzisz tylko ciągły powolny upadek na gorsze.

— Waćpan zapewne widzisz inaczej? — spytał z niechęcią jenerał.

— Ja widzę wcale inaczej, i protestuję się przeciw temu.

— Wiem o tem. Mówiliśmy już kilka razy ze sobą o tej materyi i mogę naprzód powiedzieć zdanie waćpana o niej pod każdym względem. A żeby tego dowieść, powiem ci krótko i węzłowato, iż najpierw pod płaszczykiem umiarkowania jesteś takim samym szaleńcem jak Kamil, o tyle jeszcze niebezpieczniejszym od niego, iż patrzysz na świat okiem o wiele chłodniejszem, sięgasz niem dalej, rozumujesz logiczniej i umiesz pustą plewę obsypywać istotnie pełnem i zdrowem ziarnem po wierzchu. Powtóre zdaje ci się, że jesteś katolikiem, a ty jesteś protestantem w najściślejszem tego słowa znaczeniu, bo negacya jest głównym żywiołem twojego umysłu, — a nakoniec kusisz się niby-to o to, ażeby rozerwane od siebie dwa końce łańcucha związać i spoić ze sobą i tą robotą zajęty, myślisz że ciągle idziesz naprzód, a tymczasem ty wciąż stoisz na jednem miejscu i tak skiśniesz zawieszony pomiędzy niebem i ziemią, nie dorobiwszy się nigdy żadnego znaczenia ani w niebie ani na ziemi.

— Tego jeszcze powiedzieć nie można, — odpowiedział xiądz na to, — bo to przyszłość dopiero okaże, ale że stoję pomiędzy dwiema ostatecznościami we środku, tego się nie zapieram. In medio virtus, to jest moja maxyma.

— Otóż właśnie dla tego, — przerwał prędko jenerał, — że taką przyjąłeś maxymę, nie postępujesz ani o krok dalej z miejsca, na którem stoisz. Bo in medio jest tylko medio, mierność, nic, zero. Doskonałość jest tylko w ostatecznościach, i jeżeli o to idzie, to i synowi pana Łaskiego przyznam, że jest doskonałym — waryatem. Ale à propos syna...

— Tak jest, a propos syna, — odezwał się zaraz ojciec Kamila, — przyszedłem tutaj, ażebym jw. panu złożył moje podziękowanie... (C. d. n.)

Mysz na pokucie.

Głoszą w podaniach swych mieszkańcy wschodu,
Że u nich pewnego czasu,
Mysz nabożna psotami zbyt słynna za młodu,
By na starość uniknąć zgiełku i hałasu,
Postanowiła pokutować szczerze
W dziurze zrobionej w holenderskim serze.
Tam pełna skruchy o duszy zbawienie,
Z łapek i ząbków pomocą,
Skrobiąc bezpiecznie ser i dniem i nocą,
Z pięknym zapasem znalazła schronienie.
Na cóż więcej dla myszy? w tym raju dla siebie
Spasła się, myśląc o niebie.
A co się na świecie działo?
O tem znać się jej nie chciało.
Alić pewnego razu wygląda z tej nory,
I cóż widzi? poselstwo ziomków z liczną świtą.
Co szło błagać o pomoc zagraniczne domy,
Przeciw kociemu plemieniu,
Które nagle nabiegło ich Rzeczpospolitą,
I stolicę Myszopol trzyma w oblężeniu.
«Nędza powszechna w całej naszej ziemi.
Rzekną posłowie: i z tej to przyczyny,
Jesteśmy teraz z sakwami próżnemi.
Wszystkośmy zjedli co do okruszyny,
A droga jeszcze daleka przed nami.
Przychodzim zatem do ciebie z prośbami,
Byś nas czemkolwiek obdarzyć raczyła.»
Mowa ta pustelniczkę mocno poruszyła.
Złożywszy zatem na krzyż łapki swoje,
Tak im odpowie: «Współrodaczki moje!
Żal mi was! lecz ja biedna myśląc o wieczności.
Jużem się dawno świata wyrzekła marności,
I czemże grzeszna obdarzyć was mogę?
Niech was pan bóg swą łaską opatrzy na drogę.

A ja, za was dni, noce modlić się gotowa."
To rzekłszy pożegnała, i więcej ni słowa.
Kto jest obrazem myszy w życiu i pokorze?
Szukajcie a znajdziecie nawet nie w klasztorze. A. P.

PONSARD.

Po wyśmianiu Szekspira przez Woltera, po uklasycznieniu i *poprawieniu* go przez Ducisa, Francuzi obejrzeli się poza siebie. I spytali się własnego przekonania, czy istnieje u nich poezja dramatyczna, czy mają jaki prawdziwy oryginalny dramat? A przekonanie nie wiedziało, co im odpowiedzieć na to. Mamy trajedję nibyto rzymską i grecką mówiło ono, mamy komedję i naszą i nie naszą, mamy Moliera, Regnarda i Beaumarchais'go, mamy Rotrou i Kornela, mamy wymuskane czułości Rasyna i napuszone Woltera deklamacje, mamy nareszcie Crebillona, który nas do nich wszystkich zdegustował. Ależ wiemy, co to jest dramat, bo podczas kiedy jeszcze u nas imperjalistowscy poeci poruszali ostatnie szczątki naśladownictwa, to w Niemczech pisali Szyller i Goethe, to w Anglji dawno zmarł Szekspir, a w Hiszpanji niemniej dawno Calderon de la Barca i Lopez de Vega nową założyli szkołę. Czyliż sąsiednie narody rozebrały już pomiędzy siebie, wsystko co tylko wziąć było można, przecież i nam czegoś nowego potrzeba.

I na to wołanie ogółu odpowiedziało kilka pojedyńczych głosów. Wiktor Hugo podniósł wielki swój sztandar dramatu, Delavigne i Vigny pisać zaczęli dla sceny, a za nimi cisnął się cały tłum naśladowców, ubogi w ich talent i przymioty a przesadzający ich wady, i powstała nowa scena francuska, a piękne paryżanki zaczęły mdleć na przedstawieniu Lukrecji Borgji, dostawały ataków spazmów podczas ostatniego aktu Antony i płakały gorzkiemi łzami nad nieszczęsnym losem biednych dzieci Edwarda. Zapełniły się teatra, zapełniły się kieszenie dramatopisarzy, a najbardziej zapełniła się literatura dramatyczna. Bo oprócz kilku dzieł rzeczywistej wartości, rokrocznie wychodziły na świat niezliczone kohorty efemerydów, pełne sztyletów, trucizn, katów, krwi i jęków, i grożące nareszcie takiem natężeniem gustu publiczności, że chyba już coś nakształt powtórzenia ohydnej pamięci krwawych igrzysk rzymskich, mogło było na niej uczynić wrażenie. Poczciwi nadsekwańscy mieszkańcy oswoili się powoli z najokropniejszemi okropnościami, nic już ich nie dziwiło, nic już nie zastraszyło, a Shyllok Szekspira wydałby się chyba wówczas tym mankietowym wykwintnisiom charakterem, a l'eau de rose skreślonym. Do tego doszło, że sprawcy tego wszystkiego sami się już przestraszyli swojego dzieła i nie mogli znaleść dostatecznego efektu; owe sztuczne fajerwerki z takiem staraniem wyszukiwane, blademi zaczęły się wydawać, zasypiano na dramatach i melodramatach, a ogół zawołał ogromnym swoim głosem; dość już krwi, dość łez, dość śmierci, pożogów i mordów, chcemy spokojności, dajcie nam odetchnąć chwilę.

I zjawił się Ponsard.

Ponsard to człowiek zasługi ale i szczęścia zarazem, bo niestety na tem naszem losowaniu że tak powiem, rozgłosów i wynagrodzeń, zasługa bez szczęścia nic prawie nie znaczy.

Lukrecja Ponsarda jak raz w samą porę pojawiła się. Teatr francuski potrzebował dobrej a nowej trajedji, panna Rachel kwitnąca już wówczas dzięki recenzjom pochwalnym pana Jules Janin w blasku całej sławy swojej, potrzebowała wielkiej jakiej roli, a publiczność wołała o klasyczne dzieła. Lukrecja Ponsarda zadowoliła wszystkie wymagania, powodzenie wiec tej trajedji było bezprzykładne prawie. Ponsard zachowując w Lukrecji całą prostotę i siłę dzieł klasycznych, potrafił się jednak nagiąć w niej do tych wyobrażeń, jakie liczne studja nad światem starożytnym, w ostatnich czasach przez Niemców mianowicie dokonane, nadały nam o życiu spółczesnem Rzymian. Pierwsza Lukrecja z trajedji francuskich stała się wiernem odbiciem tego życia. Trudno tam o fałsz estetyczny, trudniej jeszcze o historyczne zboczenie. Bo Ponsard do ogromnego talentu, łączy niepojętą wytrwałość w pracy. Nie znamy pierwotnych utworów francuskiego tragika, niezadowolony z nich nie wydał ich zapewne na świat, ale niewątpliwie wiele prób innych dzieł utworzyć i zedrzeć musiał, zanim Lukrecja okazała się światu. To też talent jego od razu błysnął w całej swojej aureoli, i nazwisko Ponsarda za pierwszem pojawieniem się na scenie, stało się europejskiem.

Lukrecja sama w sobie nie jest arcydziełem. Nie widać tam błysków nadzwyczajnego talentu: nie ma tam ani owego nieprzebranego zdroju Szyllerowskiej poezji, ani wyższego poglądu Goethego, ani jenjalnych pomysłów Szekspira, ani kryształowego hartu Kornela, ani nareszcie wdzięcznej sztuki ujmowania serc i przywiązywania uwagi Wiktora Hugo. Lukrecja zazbyt dobrze obrobiona, nazbyt poprawna, żeby można ją nazwać jenjalnym utworem. Talent Ponsarda za rozsądnie tam się rozwinął. Nie ma tam błędu, ale też nie ma tego porywu jenjuszu, który błędy wynagradza. Lukrecja jest piękne estetyczne dzieło w całem znaczeniu tego wyrazu, ale wydaje nam się raczej, jako ostatni utwór olbrzymiego jakiego talentu, wytrawnego w pisaniu, i pewnego siebie i swojej sławy, niżeli jako pierwszy wytrysk jenjusza poety, torującego sobie drogę na świecie zasługi. W połowie do niesłychanego powodzenia jakiego Lukrecja doznała, doliczyć można grę pany Rachel, recenzję Juliusza Janina, szczęśliwe okoliczności, o których wspomnieliśmy. Zawsze jednak dzieło owo stanowi epokę, a wartość jego na przebiegu lat nic pewno nie straci, owszem podniesie się może.

Po Lukrecji ujrzała świat *Agnès de Mérante,* trajedja w

stylu surowym, zbyt surowym może, bo autor za klasycznie wieki średnie chciał traktować. Agnès de Meranie nie miała powodzenia Lukrecji i słusznie bardzo. W porównaniu do tamtej, ta udramatyzowana epopeja jest prawie miernością. Owa wierność historyczna, owa równość, owa prostota, które były zasługą w Lukrecji, tutaj wydały się nazbyt bezbarwnemi. Ruchliwiej trzeba było opisać dwór Filipa Augusta, więcej malowniczości dodać szczegółom tej tak poetycznej epoki. Nie był to rodzaj Ponsarda i zmiarkował to od razu, bo przepróbowawszy raz jeszcze swoje siły na czasach nowożytnych w *Charlotte Corday*, upoetyzowanym dramacie rewolucji francuzkiej, powrócił do starożytnych.

Małe sztuczki, jako to: *Horace et Lydie, les moinaux de Lesbie*, jakkolwiek wierny obraz zycia społecznego i cywilizacji domowej starożytnych malujące, czasowy tylko uzyskały rozgłos. Starożytność nie nagina się już do komedji dla nas.

Upływ wieków ma to za sobą, że zaciera śmieszności i wady jako mniej godne wspomnienia, a cnoty i bohaterstwo w całym ich zostawuje blasku. Zresztą przedmiot do komedyi powinien być wyrwany z życia znanego wszystkim widzom. Jeżeli autor malując wiernie starożytne zboczenia i śmieszności, odgranicza je od teraźniejszości, całą warstwą ubiegłej cywilizacyi, widzowie nie pojmą wszystkich piękności i wierności obrazu; jeżeli zaś w takim szkicu, charaktery, wypadki, lub usposobienia, zgadzają się (o co nie trudno bo ludzkość wiecznie tąż samą) z teraźniejszością, to niesprawiedliwi widzowie powiedzą, że autor nowożytnych Niemców i Francuzów przybrał tylko w sukienki Rzymian i Greków. W każdym razie praca to niewdzięczna, a może i płonna, autor we własnem zadowoleniu powinien szukać nagrody sumienności swojej, a dla pisarza dramatycznego ani taka nagroda wystarczy, ani nawet odpowie prawdziwemu powołaniu sceny. Szaleństwo Ajaxa lub nieszczęścia Oedypa przerażą nas zawsze, a wątpię, czyby Sokrates w koszu wzbudził śmiech w naszej publiczności.

Pomijamy studya Ponsarda nad Homerem i poemat jego o tym mycie poetów, nie wchodzi to bowiem w zakres prac jego dramatycznych. *Ulysses*, trajedya jego w stylu czysto greckim, która przeszłego roku na scenie teatru francuskiego przedstawioną była, zyskała ogromne pochwały znawców, rozbudziła kilka po największej części pochwalnych krytyk, a publiczność teatralna jak to zwykle publiczność, dała przyklask pięknym miejscom, oświadczyła głośno swoje zadowolenie dla olbrzymiego talentu, syzyfowej pracy, i czysto-klasycznych piękności dzieła, i... zaczęła coraz rzadziej uczęszczać na nie.

Tak to zwykle bywa (może mniej jeszcze we Francyi niż gdzieindziej,) chwalą głośno wielkie utwory, ale idą przypatrywać się błaznowi, który zręcznie koziołki wywraca. Bóg z nimi. (D. n.)

Rozmaitość.

* **Korrespondencya z Krakowa.** Dawno wam nie pisano o teatrze, bo jakże pisać, kiedy zamknięty — Pfeiffer zasiedział się w Poznańskiem, choć tam mu jakoś nie wiedzie się. Mizerne dawał sztuki przez czas kontraktów, z daremnem wysileniem się początkujących aktorów. Grą niepewną i wątłą nie utrzymali wątlejszej budowy dramatów tuzinkowych. Publiczność kładąc całe złe na karb gry niedoskonałej, wyrzekła od razu zdanie, niekorzystne o całej kompanii, a co najgorsza, przestała uczęszczać. Spostrzegł się dyrektor za późno, wystąpił z dziełmi Korzeniowskiego, ale już było po kontraktach, właściciele ziemscy porozjeżdżali się na wsie, a ośmnastotysięczna polska ludność w Poznaniu wolała zamiast w arenie lub teatrze, szukać gdzieindziej dotykalniejszych rozrywek. Wraca więc Pfeiffer do nas niezadługo, nic zapewne nie zyskawszy, jeżeli czego nawet nie utracił. Na dalsze miesiące aż do jesieni oczekuje go Galicya, mianowicie Tarnów i Rzeszów. Tymczasem dla nas wystarczy teatr niemiecki. Karol Gaudelius były dyrektor teatru niemieckiego za czasów Chełchowskiego w Krakowie 1853 r. otrzymał obecnie od wysokiego c. k. rządu przedsiębiorstwo teatru krakowskiego, sam będzie trzymać dramat i operę niemieckie, Pfeifra zaś pozostawia przy teatrze polskim. Z zapowiedzianego abonamentu wyczytujemy, że niemieckich widowisk przypadnie na miesiąc po 19 i po 20, — zatem polskich mogłoby być najwięcej po 8. W mieście, gdzie wyłącznie góruje język polski, dawanie widowisk polskich w mniejszej liczbie, niż w jednej trzeciej części, musi wypaść z krzywdą dla mieszkańców i ze szkodą dla samego przedsiębiorstwa.

W takim razie, możemy wróżyć najniezawodniej, że teatr polski utrzymać się nie zdoła, pomimo wszelkich ofiar. Dwa widowiska do tygodnia to zbyt mało, i zabójcze dla sceny, —nie wystarczą one na opłacanie chociażby miernych aktorów, a cóż dopiero mówić o uzyskaniu dochodu pewnego?

Odwróćmy oczy od tej niemiłej przyszłości, a pomówmy o przyszłości obiecującej. Doroczna wystawa obrazów uczni szkoły malarskiej przedstawiła nam kilkadziesiąt obrazów i kilkunastu malarzy *in spe*. Z pomiędzy tłumu, dwóch tylko odszczególniło się widocznie, Grotker i Grabowski; pierwszy, młodzieniec siedmnastoletni, wystawił dwa większego rozmiaru obrazy własnej kompozycyi. Odbicie łupów tatarom, Szwedzi zapijający przed karczmą polską. Jest w tych obrazach i myśl przeprowadzona dość szczęśliwie i widny talent mianowicie do rysowania koni. Dwa równie znaczne obrazy rodzajowe Grabowskiego, są wystudyowane pilnie, i fizyonomie starców wypracowane. Są to wszystko początki, a początki takie, że jeszcze o nich wiele rozprawiać nie należy, jednakże nie można pominąć ich milczeniem, bo zapowiadają coś więcej nad powszednią miernotę. Inni malerze *in spe* Ekielski, Sinnmajer, Kotsys, Cynk, Gryglewski, Głowacki, Matejko i t. d. są równie początkujący, okazali popęd do pewnych rodzajów malarstwa, jak np. Gadomski do obrazów rodzajowych (np. Kominiarczyk), Ekielski i Głowacki do pejzażów. O tych zapewne na rok przyszły, coś szerzej będzie można napisać. Jabłońskiego znajdowało się jedno tylko maleńkie studyum (głowa) odmalowane, obrazki jego historyczno-religijnej treści nie mieściły się na wystawie, — miał to być najzdolniejszy z tegorocznych uczniów.

Ogółowe wrażenie, jakie wynieśliśmy tego roku z wystawy, jest daleko korzystniejsze, niż w roku poprzednim. Z tych próbek i początków widać jasno, że profesor dozwolił pójść fantazyi i skłonności ucznia ku pracom tego rodzaju, do którego ten ochotę okazywał, że musiał pilnie i troskliwie kierować początkami uczniów, i przykładał usilności, aby szkoła malarska, pomimo szczupłych środków,

mogła coraz więcej rozwijać się i podnosić. Przez ten rok w miejsce nieobecnego pana Sztattlera, kierował szkołą malarską p. Władysław Łuszczkiewicz, syn tutejszego dyrektora instyt. technicznego. Pan Łuszczkiewicz pracuje obecnie nad obrazem przedstawiającym śmierć Zborowskiego, postąpił już daleko w tej pracy, która znacznie będzie lepszą od wszystkich poprzednich.

Malarz Ludwik Łepkowski, pracujący dla wzorów sztuki średniowiecznej, powrócił w tych dniach z Królestwa, gdzie długi czas bawił, zbierając po prowincyach szkice i przerysowując pomniki i zabytki sztuki. Gazeta Codzienna obsypała go pochwałami, zapewne będzie on tutaj pracować, dostarczając rycin «Wzorom».

Malarz Karol Balicki umarł, — nie wiem czemu »Czas» doniósł fałszywie, iż on się Jan nazywa, a nie wystarał się choćby o treściwą biografią jego. Był to pracowity niezmiernie rysownik, i dla tego właśnie, że wykończał wszystko sumiennie, robota nie szła mu z pośpiechem, a bieda zazierała do pustej izdebki jego, choć jej nie szukał i nie żalił się na nią. Był to bardzo religijny i pewnego charakteru młodzieniec. Umarł 15. czerwca r. b., biografia jego będzie wkrótce wykończoną.

Kazimierz Mirecki bawiący z zasiłkiem od rządu w Wenecyi, syn Franciszka Mireckiego, kompozytora oper, i brat pianisty Mireckiego Stanisława (którego kilka muzycznych kompozycyj wyszło nakładem Wildta w Krakowie, Spiny w Wiedniu i Ricordego w Medyolanie); odmalował dwa obrazy na wystawę obrazów w sierpniu w Wenecyi, a kończy już, ogromny obraz Oblężenia Krakowa przez Szwedów. (D. n.)

* Nr. 34. Dziennika literackiego zawiera: 1.) O muzyce w Polsce przez L. Dunina (ciąg dalszy.) 2.) Bojar Orsza (ciąg dalszy.) 3.) Stanisław Staszyc (ciąg dalszy). b) na Alpach. 4.) Przegląd dzieła Lelewela: Polska wieków średnich przez H. Szmitta. 5.) Korespondencya z Krakowa. O Wincentym Polu i Lucyanie Siemieńskim.

* Gazeta Lwowska donosi, iż za staraniem JExc. jenerała zbrojmistrza i naczelnie dowodzącego c. k. armii, barona Hessa w krótkim czasie stanie kolej żelazna aż do Jarosławia, później zaś aż do Lwowa i do granicy. Do roboty ma być użyte wojsko. Słyszymy iż trzy pułki już są ku temu przeznaczone.

* JExc. jenerał-zbrojmistrz baron Hess, wyjechał we czwartek, z rana do Tarnopola, a JExc. jenerał kawaleryi hr. Schlick do Czerniowiec.

Przyjechali od dnia 30. do 31. sierpnia do Lwowa:

PP. Onyszkiewicz Fortunat, z Borusowa. Białoskórski Felicyan, z Czajkowic. Winnicki Aleksander, z Hodynia. Skarbek Jan, hr. z Janowa. Ostrowski Ignacy, z Doliny. Hasiewicz Franciszek, z Sambora. Nikorowicz Karol, z Bartatowa. Szczepański Franciszek, z Krakowa.

PP. Kilian Wincenty, z Brzeżan. Torosiewicz Franciszek, z Brzeżan. Czerkawski Tymoteusz, z Tuczep. Golejowski Adam, hr. z Krakowa. Kołaczkowski Adam, z Przemyśla. Gorczyński Teofil, z Łoziny. Suchodolski Wiktor, ze Średniejwsi. Jarosławski Grzegorz, z Pustomyt.

Wyjechali od dnia 30. do 31. sierpnia ze Lwowa:

PP. Kalinowski Władysław, hr. do Bakowca. Michałowski Antoni, do Niedzielisk. Malczewski Juliusz, do Skwarzawy.

PP. Renar Andrzej, hr. do Bartatowa. Szczepański Franciszek, do Stanisławowa. Mrozowiecki Stanisław, do Sokołówki. Stankiewicz Hipolit, do Nowoszyna. Lang Ignacy, do Wolicy. Obertyński Wacław, do Żółkwi. Kochański Tomasz, do Żółkwi. Mroczkowski Michał, do Wareża. Urbański Rudolf, do Dobroszyna.

Kurs telegrafowany z Wiednia 31. p. m. o g. 2 popolud.

Amszterdam.	—	Medyolan za 300 lirów	$113\frac{1}{2}$.
Augsburg za 100 złr.	$113\frac{3}{4}$.	Paryż za 300 franków	$133\frac{2}{4}$
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$114\frac{1}{8}$.	Srebra agio	13
		Pożyczka 5% $85\frac{1}{8}$ 4%	$65\frac{3}{4}$
Genua.	—.	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco.	$84\frac{1}{4}$.	Akcye banku . . .	1270.
Konstantynopol	—.	Kolej północna . . .	1755.
Liwurno.	—.	Obl. ind.	—
Londyn za 1 funt szterl.	11. 8.	Nowa pożyczka z loteryą .	—.
Marsylia	—.		

Wczorajszy. Kurs lwowski.

		Gotówką				towarem		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	17	złr.	5	kr.	20
Dukat cesarski	„	5	„	24	„	5	„	27
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	17	„	9	„	20.
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	47	„	1	„	48
Talar pruski	„	1	„	44	„	1	„	46
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	19	„	1	„	20
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	„	88	„	45	„	89	„	10

Obligacye indemnizacyjne — do — Złr. — kr.

Lwów 1. Września. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 22 złr. 30 kr. do 28 złr. — kr. — Żyta po 17 złr. 45 kr. do 20 złr. — kr. Jęczmienia po 16 złr. 30 kr. do 18 złr. — kr. Owsa po 12 złr. — kr. do 14 złr. — kr. Grochu po 25 złr. — kr. do 32 złr. — kr. Hreczki po 18 złr. — kr. do 20 złr. — kr. — Ziemniaków po 8 złr. 15 do 9 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 26 złr. 30 kr. do — złr. Sosnowego po 21 złr. 20 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 10 kr. do 2 złr. 35. kr. Centnar słomy 1 złr. 40 kr. do 1 złr. 48. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 1 Złr. 58 kr. m. k.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**